

Noc wielkiego sezonu



BRUNO SCHULZ

SKLEPY CYNAMONOWE

Noc wielkiego sezonu

Każdy wie, że w szeregu zwykłych, normalnych lat rodzi niekiedy zdziwaczały czas ze swego łona lata inne, lata osobliwe, lata wyrodne, którym — jak szósty, mały palec u ręki — wyrasta kędyś trzynasty, fałszywy miesiąc.

Mówimy fałszywy, gdyż rzadko dochodzi on do pełnego rozwoju. Jak dzieci późno spłodzone, pozostaje on w tyle ze wzrostem, miesiąc garbusek, odrośl w połowie uwiedła, raczej domyślna niż rzeczywista.

Winna jest temu starcza niepowściągliwość lata, jego rozpusztana i późna żywotność. Bywa czasem, że sierpień ginie, a stary gruby pień lata rodzi z przyzwyczajenia jeszcze dalej, pędzi ze swego próchna te dni-dziczki, dni-chwasty, jałowe i idiotyczne, dorzuca na dokładkę, za darmo, dni-kaczany¹, puste i niejadalne — dni białe, zdziwione i niepotrzebne.

Wyrastają one, nieregularne i nierówne, nie wykształcone, zrosnięte ze sobą, jak palce potworkowatej ręki, pączkujące, zwinięte w figę.

Inni porównują te dni do apokryfów², wsuniętych potajemnie między rozdziały wielkiej księgi roku, do palimpsestów³, skrycie włączonych pomiędzy jej stronicę, albo do tych białych niezadrukowanych kartek, na których oczy, nacytane do syta i pełne treści, broczyć mogą obrazami i gubić kolory na tych pustych stronicach, coraz bliżej i bliżej, żeby wypocząć na ich nicości, zanim wciągnięte zostaną w labirynty nowych przygód i rozdziałów.

Ach, ten stary, pożółkły romans roku, ta wielka, rozpadająca się księga kalendarza! Leży ona sobie zapomniana gdzieś w archiwum czasu, a treść jej rośnie dalej między okładkami, pęcznieje bez ustanku od gadulstwa miesiący, od szybkiego samoródtwa blagi, od bajania i majaczeń, które się w niej mnożą. Ach, i spisując te nasze opowiadania, szeregując te historie o moim ojcu na zużytych marginesie jej tekstu, czy nie oddaję się tajnej nadziei, że wrosną one kiedyś niepostrzeżenie między żółtkę kartki tej najwspanialszej, rozsypującej się księgi, że wejdą w wielki szelest jej stronic, który je pochłonie?

To, o czym tu mówić będziemy, działo się tedy w owym trzynastym, nadliczbowym i niejako fałszywym miesiącu tego roku, na tych kilkunastu pustych kartkach wielkiej kroniki kalendarza.

Ranki były podówczas dziwnie cierpkie i orzeźwiający. Po uspokojonym i chłodniejszym tempie czasu, po nowym całkiem zapachu powietrza, po odmiennej konsystencji światła poznać było, że weszło się w inną serię dni, w nową okolicę Bożego Roku.

Głos drzał pod tymi nowymi niebami dźwięcznie i świeżo jak w nowym jeszcze i pustym mieszkaniu, pełnym zapachu lakieru, farb, rzeczy zaczętych i nie wypróbowanych. Z dziwnym wzruszeniem próbowało się nowego echa, napoczytno się je z ciekawością, jak w chłodny i trzeźwy poranek babkę do kawy, w przeddzień podróży.

Czas

Czas, Lato, Kaleka

¹kaczany — kolba kukurydzy a. głąb kapusty. [przypis edytorski]

²apokryfy — niekanoniczne opowieści o świętych i postaciach biblijnych a. księgi niewłączone do kanonu biblijnego. [przypis edytorski]

³palimpsest — wielokrotnie zapisywany i wycierany papierus, z którego zazwyczaj można odczytać fragmenty więcej niż jednego tekstu. [przypis edytorski]

Ojciec mój siedział znowu w tylnym kontuarze⁴ sklepu, małej, sklepionej izbie, pokratkowanej jak ul w wielokomórkowe registry⁵ i łuszczącej się bez końca warstwami papieru, listów i faktur. Z szelestu arkuszy, z nieskończonego kartkowania papierów wyrastała kratkowana i pusta egzystencja tego pokoju, z nieustannego przekładania plików odnawiała się w powietrzu z niezliczonych nagłówków firmowych apoteoza⁶ w formie miasta fabrycznego, widzianego z lotu ptaka, najeżonego dymiącymi kominami, otoczonego rzędami medali i ujętego w wywijasy i zakręty pompacyjne *et i Comp.*

Tam siedział ojciec, jak w ptaszarni, na wysokim stołku, gołębniki registratur szeleściły plikami papierów i wszystkie gniazda i dziupła pełne były świergotu cyfr.

Głęb wielkiego sklepu ciemniała i wzbogacała się z dnia na dzień zapasami sukna⁷, szewiotów⁸, aksamitów⁹ i kortów¹⁰. W ciemnych półkach, tych spichrzach¹¹ i lamusach¹² chłodnej, pilśniowej¹³ barwności, procentowała stokrotnie ciemna, odstawa kolorowość rzeczy, mnożył się i sycił potężny kapitał jesieni. Tam rósł i ciemniał ten kapitał i rozsiadał się coraz szerzej na półkach, jak na galeriach jakiegoś wielkiego teatru, uzupełniając się jeszcze i pomnażając każdego rana nowymi ładunkami towaru, który w skrzyniach i pakach wraz z rannym chłodem wnosili na niedźwiedzich barach stękający, brodaci tragarze w oparach świeżości jesiennej i wódki. Subiecki¹⁴ wyładowywali te nowe zapasy sycących bławatnych kolorów i wypełniali nimi, kitowali starannie wszystkie szpary i luki wysokich szaf. Był to rejestr olbrzymi wszelakich kolorów jesieni, ułożony warstwami, usortowany odcieniami, idący w dół i w górę, jak po dźwięcznych schodach, o gamach wszystkich oktaw barwnych. Zaczynał się u dołu i próbował jękliwie i nieśmiało altowych spełności i półtonów, przechodził potem do spłowiących popiołów dali, do gobelinowych zieleni i błękitów i rosnąc ku górze coraz szerszymi akordami, dochodził do ciemnych granatów, do indyga lasów dalekich i do pluszu parków szumiących, ażeby potem poprzez wszystkie ochry, sangwiny¹⁵, rudości i sepie¹⁶ wejść w szelestny cień więdnących ogrodów i dojść do ciemnego zapachu grzybów, do tchnienia próchna w głębiach nocy jesiennej i do głuchego akompaniamentu najciemniejszych basów.

Ojciec mój szedł wzdłuż tych arsenałów¹⁷ sukiennej jesieni i uspokajał i uciszał te masy, ich wzbierającą moc, spokojną potęgę Pory. Chciał jak najdłużej utrzymać w całości te rezerwy zamagazynowanej barwności. Bał się łamać, wymieniać na gotówkę ten fundusz żelazny jesieni. Ale wiedział, czuł, że przyjdzie czas i wicher jesienny, pustoszący i ciepły wicher, powieje nad tymi szafami i wtedy puszcza one i nic nie zdoła powstrzymać ich wylewu, tych strumieni kolorowości, którymi wybuchną na miasto całe.

Przychodziła pora Wielkiego Sezonu. Ożywiały się ulice. O szóstej godzinie po południu miasto zakwitało gorączką, domy dostawały wypieków, a ludzie wędrowali ożywieni jakimś wewnętrznym ogniem, naszminkowani i ubarwieni jaskrawo, z oczyma błyszczącymi jakąś odświeżoną, piękną i złą febrą¹⁸.

Na bocznych uliczkach, w cichych zaułkach, uchodzących już w wieczorną dzielnicę, miasto było puste. Tylko dzieci bawiły się na placzkach pod balkonami, bawiły się bez tchu, hałaśliwie i niedorzecznie. Przykładały małe pęcherzyki do ust, ażeby wydmuchać je i naindyczyć się nagle w jaskrawo wielkie, gulgocące, rozpluskane narośle albo wykogucić się w głupią kogucią maskę, czerwoną i piejącą, w kolorowe jesienne maskary, fantastyczne i absurdalne. Zdawało się, że tak nadęte i piejące wzniosą się w powietrze długimi kolorowymi łańcuchami i jak jesienne klucze ptaków przeciągać będą nad mia-

⁴kontuar — lada sklepowa. [przypis edytorski]

⁵registratura — zbiór dokumentów urzędu lub kancelarii. [przypis edytorski]

⁶apoteoza — uwielbienie a. ubóstwienie. [przypis edytorski]

⁷sukno — ciężki wełniany materiał. [przypis edytorski]

⁸szewiot — rodzaj wełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

⁹aksamit — miękka, krótko strzyżona tkanina. [przypis edytorski]

¹⁰kort — rodzaj wełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

¹¹spichlerz — magazyn do przechowywania zboża. [przypis edytorski]

¹²lamus — magazyn staroci. [przypis edytorski]

¹³pilśni — mocno zbity materiał wełniany. [przypis edytorski]

¹⁴subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

¹⁵sangwin — brunatny odcień czerwieni przypominający kolor krwi (łac. *sanguis*). [przypis edytorski]

¹⁶sepia — barwnik ciemnobrunatny. [przypis edytorski]

¹⁷arsenał — dosł. magazyn broni, tu przen.: bogate zbiory. [przypis edytorski]

¹⁸febra — tu: wysoka gorączka. [przypis edytorski]

stem — fantastyczne flotyle z bibułki i pogody jesiennej. Albo woziły się wśród krzyków na małych zgiekliwych wózkach, grających kolorowym turkotem kólek, szprych i dyszli. Wózki zjeżdżały naładowane ich krzykiem i staczały się w dół ulicy aż do nisko rozlanej, żółtej rzeczki wieczornej, gdzie rozpadały się na gruz krążków, kółków i patyczków.

I podczas gdy zabawy dzieci stawały się coraz bardziej hałaśliwe i splątane, wypieki miasta ciemniały i zakwitały purpurą, nagle świat cały zaczynał więdnąć i czernieć i szybko wydzielał się zeń majaczkliwy zmierzch, którym zarażały się wszystkie rzeczy. Zdradliwie i jadowicie szerzyła się ta zaraza zmierzchu wokół, szła od rzeczy do rzeczy, a czego dotknęła, to wnet butwiało, czerniało, rozpadało się w próchno. Ludzie uciekali przed zmierzchem w cichym popłochu i naraz dosięgał ich ten trąd, i wysypywał się ciemną wysypką na czole, i tracili twarze, które odpadały wielkimi, bezkształtnymi plamami, i szli dalej już bez rysów, bez oczu, gubiąc po drodze maskę po masce, tak że zmierzch roił się od tych larw porzuconych, sypiących się za ich ucieczką. Potem zaczynało wszystko zarastać czarną, próchniejącą korą, łuszczącą się wielkimi płatami, chorymi strupami ciemności. A gdy w dole wszystko rozprzęgało się i szło wniwecz w tej cichej zamieszce, w panice prędkiego rozkładu, w górze utrzymywał się i rósł coraz wyżej milczący alarm zorzy, drgający świergotem miliona cichych dzwonek, wzbierający wzlotem miliona niewidzialnych skowronków, lecących razem w jedną wielką, srebrną nieskończoność. Potem była już nagle noc — wielka noc, rosnąca jeszcze podmuchami wiatru, które ją rozszerzały. W jej wielokrotnym labiryncie wyłupane były gniazda jasne: sklepy — wielkie, kolorowe latarnie, pełne spiętrzonego towaru i zgiełku kupujących. Przez jasne szyby tych latarni można było śledzić zgiełkiwy i pełen dziwacznych ceremoniału obrzęd zakupów jesiennych.

Ta wielka, faldzista noc jesienna, rosnąca cieniami, rozszerzona wiatrami, kryła w swych ciemnych faldach jasne kieszenie, woreczki z kolorowym drobiazgiem, z pstrym towarem czekoladek, keksów, kolonialnej pstrokaczny. Te budki i kramiki, sklecone z pudełek po cukrach¹⁹, wytapetowane jaskrawo reklamami czekolad, pełne mydełek, wesolej tandety, złożonych błahostek, cynfolii²⁰, trąbek, andrutów²¹ i kolorowych miętówek, były stacjami lekkomyślności, grzechotkami beztroski, rozsianymi na wiszarach²² ogromnej, labiryntowej, rozłopotanej wiatrami nocy.

Wielkie i ciemne tłumy płynęły w ciemności, w hałaśliwym zmieszaniu, w szurgocie tysięcy nóg, w gwarze tysięcy ust — rojna, splątana wędrówka, ciągnąca arteriami jesiennego miasta. Tak płynęła ta rzeka, pełna gwaru, ciemnych spojrzeń, chytrych lypnięć, pokawalkowana rozmową, posiekana gawędą, wielka miazga plotek, śmiechów i zgiełku.

Zdawało się, że to ruszyły tłumami jesiennie, suche makówki, sypiące makiem — głowy-grzechotki, ludzie-kołatki.

Mój ojciec chodził zdenerwowany i kolorowy od wypieków, z błyszczącymi oczyma, w jasno oświetlonym sklepie, i nasłuchiwał.

Przez szyby wystawy i portalu dochodził tu z daleka szum miasta, stłumiony gwar płynącej cizby. Nad ciszą sklepu płonęła jasno lampa naftowa, zwisająca z wielkiego sklepienia, i wypierała najmniejszy ślad cienia z wszystkich szpar i zakamarków. Pusta, wielka podłoga trzaskała w ciszy i liczyła w tym świetle wzdłuż i w szerz swe błyszczące kwadraty, szachownicę wielkich tafli, które rozmawiały ze sobą w ciszy trzaskami, odpowiadały sobie to tu, to tam głośnym pęknięciem. Za to sukna leżały ciche, bez głosu, w swej pilśniowej puszystości i podawały sobie wzdłuż ścian spojrzenia za plecami ojca, wymieniały od szafy do szafy ciche znaki porozumiewawcze.

Ojciec nasłuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać i rozgałęziać poza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip falujący w mętach nocy.

Nasłuchiwał i słyszał. Słyszał z rosnącym niepokojem daleki przypyływ tłumów, które nadciągały. Rozglądał się z przerażeniem po pustym sklepie. Szukał subiektów. Ale ci ciemni i rudzi aniołowie dokądś odlecieli. Pozostał on sam tylko, w trwodze przed tłumami, które wnet miały zalać ciszę sklepu plądrującą hałaśliwą rzeszą i rozebrać między siebie, rozlicytować całą tę bogatą jesień, od lat zbieraną w wielkim zacisznym spichlerzu.

¹⁹cukry — dziś: cukierki. [przypis edytorski]

²⁰cynfolia — cienka folia z walcowanej cyny, materiał ozdobny. [przypis edytorski]

²¹andrut — typ wafelka. [przypis edytorski]

²²wiszary (poet.) — urwiska a. roślinność czepiająca się kamieni. [przypis edytorski]

Gdzie byli subiekci? Gdzie były te urodziwe cheruby, mające bronić ciemnych, sukiennych szańców²³? Ojciec podejrzewał bolesną myślą, że oto grzeszą gdzieś w głębi domu z córami ludzi. Stojąc nieruchomy i pełen troski, z błyszczącymi oczyma w jasnej ciszy sklepu, czuł wewnętrznym słuchem, co działo się w głębi domu, w tylnych komorach wielkiej kolorowej tej latarni. Dom otwierał się przed nim, izba za izbą, komora za komorą, jak dom z kart, i widział gonitwę subiektów za Adelą przez wszystkie puste i jasno oświetlone pokoje, schodami na dół, schodami do góry, aż wymknęła się im i wpadła do jasnej kuchni, gdzie zabarykadowała się kuchennym kredensem.

Tam stała zdyszana, błyszcząca i rozbawiona, trzepocąca z uśmiechem wielkimi rzęsami. Subiekci chichotali, przykucnięci pode drzwiami. Okno kuchni otwarte było na wielką, czarną noc, pełną rojeń i splątania. Czarne, uchylone szyby płonęły refleksem dalekiej iluminacji. Błyszczące garnki i butle stały nieruchomo dokoła i lśniły w ciszy tłustą polewą. Adela wychylała ostrożnie przez okno swą kolorową, szminkowaną twarz z trzepocącymi oczyma. Szukała subiektów na ciemnym podwórzu, pewna ich zasadzki. I oto ujrzała ich, jak wędrowali ostrożnie, gęsiego, po wąskim gzymsie podokiennym wzdłuż ściany pietra, czerwonej odbłaskiem dalekiej iluminacji, i skradali się do okna. Ojciec krzyknął z gniewu i rozpaczy, ale w tej chwili gwar głosów stał się całkiem bliski i nagle jasne okna sklepu zaludniły się bliskimi twarzami, wykrzywionymi śmiechem, rozgadanyimi twarzami, które płaszczyły nosy na lśniących szybach. Ojciec stał się purpurowy ze wzburzenia i wskoczył na ladę. I kiedy tłum szturmem zdobywał tę twierdzę i wkra-
czał hałaśliwą ciżbą do sklepu, ojciec mój jednym skokiem wspiął się na półki z suk-
nem i, uwisły wysoko nad tłumem, dął z całej siły w wielki puzon z rogu i trąbił na alarm. Ale sklepienie nie wypełniło się szumem aniołów, śpieszących na pomoc, a zamiast tego każdemu jękwowi trąby odpowiadał wielki, roześmiany chór tłumy.

Tłum, Handel, Koniec
świata

— Jakubie, handlować! Jakubie, sprzedawać! — wołali wszyscy, a wołanie to, wciąż powtarzane, rytmizowało się w chórze i przechodziło powoli w melodię refrenu, śpiewaną przez wszystkie gardła. Wtedy mój ojciec dał za wygraną, zeskoczył z wysokiego gzymsu, i ruszył z krzykiem ku barykadom sukna. Wyolbrzymiony gniewem, z głową spęczniałą w pięść purpurową, wbiegł, jak walczący prorok, na szańce sukienne i jął²⁴ przeciwko nim szaleć. Wpierał się całym ciałem w potężne bale wełny i wyważał je z osady, podsuwał się pod ogromne postawy sukna i unosił je na zgarbionych barach, by z wysokości galerii strącać je na ladę z głuchym łomotem. Bale leciały, rozwijając się z łopotem w powietrzu w ogromne chorągwie, pułki wybuchały zewsząd wybuchami draperii, wodospadami sukna, jak pod uderzeniem Mojżeszowej laski.

Handel, Prorok

Tak wylewały się zapasy szaf, wymiotowały gwałtownie, płynęły szerokimi rzekami. Wypływała barwna treść półek, rosła, mnożyła się i zalewała wszystkie lady i stoły.

Ściany sklepu znikły pod potężnymi formacjami tej sukiennej kosmogonii, pod tymi pasmami górskimi, piętrzącymi się w potężnych masywach. Otwierały się szerokie doliny wśród zboczy górskich i wśród szerokiego patosu wyżyn grzmiąły linie kontynentów. Przestrzeń sklepu rozszerzyła się w panoramę jesiennego krajobrazu, pełną jezior i dali, a na tle tej scenerii ojciec wędrował wśród fałd i dolin fantastycznego Kanaanu, wędrował wielkimi krokami, z rękoma rozkrzyżowanymi proroczno w chmurach, i kształtował raj uderzeniami natchnienia.

A u dołu, u stóp tego Synaju, wyrosłego z gniewu ojca, gestykułował lud, złorzeczył i czcił Baala, i handlował. Nabierali pełne ręce miękkich fałd, drapowali się w kolorowe sukna, owijali w zaimprovizowane domina²⁵ i płaszcze i gadali bezładnie a obficie.

Mój ojciec wyrastał nagle nad tymi grupami kupczących, wydłużony gniewem, i gro-
mił z wysoka bałwochwalców potężnym słowem. Potem, ponoszony rozpaczą, wspiął się na wysokie galerie szaf, biegł obłądnie po bantach²⁶ półek, po dudniących deskach ogołoconych rusztowań, ścigany przez obrazy bezwstydnej rozpusty, którą przeczuwał za plecami głębi domu. Subiekci dosięgli właśnie żelaznego balkonu na wysokości okna i wczepieni w balustradę, pochwycili w pól Adelę i wyciągnęli ją przez okno, trzepocącą oczyma i wlokącą za sobą smukłe nogi w jedwabnych pończochach.

²³szaniec — ziemne umocnienie obronne. [przypis edytorski]

²⁴jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

²⁵domino — rodzaj płaszcza z kapturem. [przypis edytorski]

²⁶bant — tu: wspornik zwiększający wytrzymałość półek. [przypis edytorski]

Gdy ojciec mój, przerażony ohydą grzechu, wrastał gniewem swych gestów w prozę krajobrazu, w dole beztroski lud Baala oddawał się wyuzdanej wesołości. Jakaś parodystyczna pasja, jakaś zaraza śmiechu opanowała tę gawiedź²⁷. Jakże można było żądać powagi od nich, od tego ludu kołatek i dziadków do orzechów! Jak można było żądać zrozumienia dla wielkich trosk ojca od tych młynków, mielących bezustannie kolorową miazgę słów! Głusi na gromy proroczego gniewu, przykucali ci handlarze w jedwabnych bekieszach²⁸ małymi kupkami dookoła sfałdowanych gór materii, roztrząsając gadatliwie wśród śmiechu zalety towaru. Ta czarna giełda roznosiła na swych prędkich językach szlachetną substancję krajobrazu, rozdrabniała ją siekaniną gadania i polykała niemal.

Handel, Grzech

Gdzie indziej stały grupy Żydów w kolorowych chałatach²⁹, w wielkich futrzanych kołpakach³⁰ przed wysokimi wodospadami jasnych materii. Byli to mężowie Wielkiego Zgromadzenia³¹, dostojni i pełni namaszczenia panowie, gładzący długie, pielęgnowane brody i prowadzący wstrzemięźliwe i dyplomatyczne rozmowy. Ale i w tej ceremonialnej konwersacji, w spojrzeniach, które wymieniali, był błysk uśmiechniętej ironii. Wśród tych grup przewijał się pospolity, bezpostaciowy tłum, gawiedź bez twarzy i indywidualności. Wypełniał on niejako luki w krajobrazie, wyścielał tło dzwonkami i grzechotkami bezmyślnego gadania. Był to element błazeński, roztańczony tłum poliszynelów³² i arlekinów³³, który — sam bez poważnych intencji handlowych — doprowadzał do absurdu gdziekolwiek nawiązujące się transakcje swymi błazeńskimi figlami.

Żyd

Tłum, Lalka, Falsz, Teatr

Stopniowo jednak, znudzony błaznowaniem, wesoły ten ludek rozpraszał się w dalszych okolicach krajobrazu i tam powoli gubił się wśród skalnych załomów i dolin. Prawdopodobnie jeden po drugim zapadały się wesołki gdzieś w szczeliny i fałdy terenu, jak dzieci zmęczone zabawą po kątach i zakamarkach mieszkania w noc balową.

Tymczasem ojcowie miasta, mężowie Wielkiego Synhedrionu³⁴, przechadzali się w grupach pełnych powagi i godności i prowadzili ciche, głębokie dysputy. Rozszedłszy się po całym owym wielkim, górzystym kraju, wędrowali po dwóch, po trzech na dalekich i krętych drogach. Małe i ciemne ich sylwety zaludniały całą tę pustynną wyżynę, nad którą zawisło ciężkie i ciemne niebo, sfałdowane i chmurne, poorane w długie równoległe bruzdy, w srebrne i białe skiby, ukazujące w głębi coraz dalsze pokłady swego uwarstwienia.

Światło lampy stwarzało sztuczny dzień w owej krainie — dzień dziwny, dzień bez świtu i wieczoru.

Ojciec mój uspokajał się powoli. Gniew jego układał się i zastygał w warstwach krajobrazu. Siedział teraz na galeriach wysokich półek i patrzył w jesienniejący, rozległy kraj. Widział, jak na dalekich jeziorach odbywał się połów ryb. W maleńkich łupinkach łódek siedziało po dwóch rybaków, zapuszczając sieci w wodę. Na brzegach chłopcy dźwigali na głowach kosze pełne trzepocącego się, srebrnego połowu.

Wówczas to dostrzegł, jak grupa wędrowców w oddali zadziera głowy ku niebu, wskazując coś wzniesionymi rękami.

I wnet zaroilo się niebo jakąś kolorową wysypką, osypało się falującymi plamami, które rosły, dojrzewały i wnet zapełniły przestworze dziwnym ludem ptaków, krążących i kołujących w wielkich, krzyżujących się spiralach. Całe niebo wypełniło się ich wzniosłym lotem, łopotem skrzydeł, majestatycznymi liniami cichych bujań. Niektóre z nich jak ogromne bociany płynęły nieruchomo na spokojnie rozpostartych skrzydłach, inne, podobne do kolorowych pióropuszków, do barbarzyńskich trofeów, trzepotały ciężko i niezgrabnie, ażeby utrzymać się na falach ciepłej aury; inne wreszcie, nieudolne kon-

Ptak, Falsz

²⁷gawiedź — bezmyślny i natrętny tłum. [przypis edytorski]

²⁸bekiesz — rodzaj podszytego futrem męskiego płaszcza. [przypis edytorski]

²⁹chałat — długie, luźne okrycie, element tradycyjnego stroju żydowskiego w Europie wschodniej. [przypis edytorski]

³⁰kołpak — wysoka futrzana czapka w kształcie stożka. [przypis edytorski]

³¹Wielkie Zgromadzenie — rada żydowska utworzona w V w. p.n.e. po powrocie z wygnania babilońskiego. [przypis edytorski]

³²poliszynel — postać z komedii dell'arte. W wielkiej tajemnicy opowiada publiczności sekrety pozostałych postaci, nieświadomy tego, że widzowie i tak zdążyli się już o nich dowiedzieć. Stąd powiedzenie „tajemnica poliszynela”. [przypis edytorski]

³³arlekin — postać z komedii dell'arte. Sprytny sługa, który oszukuje swojego pana na wiele przemyślnych sposobów, zawsze uwikłany w wątek romansowy. [przypis edytorski]

³⁴Wielki Synhedryn a. Wielki Sanhedryn — żydowska rada starszych. [przypis edytorski]

glomeraty³⁵ skrzydeł, potężnych nóg i oskubanych szyj, przypominały źle wypchane sępy i kondory, z których wysypują się trociny.

Były między nimi ptaki dwugłowe, ptaki wieloskrzydłe, były też i kaleki, kulejące w powietrzu jednoskrzydłym, niedołącznym lotem. Niebo stało się podobne do starego fresku, pełnego dziwolągów i fantastycznych zwierząt, które krążyły, wymijały się i znów wracały w kolorowych elipsach.

Mój ojciec podniósł się na bantach, oblany nagłym blaskiem, wyciągnął ręce, przyzywając ptaki starym zaklęciem. Poznał je, pełen wzruszenia. Było to dalekie, zapomniane potomstwo tej ptasiej generacji, którą ongiś Adela rozpuściła na wszystkie strony nieba. Wracało teraz, zwyrodniałe i wybujałe, to sztuczne potomstwo, to zdegradowane plemię ptasie, zmarniałe wewnątrz.

Wystrzelone głupio wzrostem, wyogromnione niedorzecznie, było wewnątrz puste i bez życia. Cała żywotność tych ptaków przeszła w upierzenie, wybujała w fantastyczność. Było to jakby muzeum wycofanych rodzajów, rupieciarnia Raju ptasiego.

Niektóre latały na wznak, miały ciężkie, niezgrabne dzioby, podobne do kłódek i zamków, obciążone kolorowymi naroślami, i były ślepe.

Jakże wzruszył ojca ten powrót niespodziany, jakże zdumiewał się nad instynktem ptasim, nad tym przywiązaniem do Mistrza, które wygnany ów ród piastował jak legendę duszy, ażeby wreszcie po wielu generacjach, w ostatnim dniu przed wygaśnięciem plemienia, pociągnąć z powrotem w pradawną ojczyznę.

Ale te papierowe, ślepe ptaki nie mogły już poznać ojca. Na darmo wołał na nie dawnym zaklęciem, zapomnianą mową ptasią, nie słyszały go i nie widziały.

Nagle zagwizdały kamienie w powietrzu. To wesółki, głupie i bezmyślne plemię, jęły celować pociskami w fantastyczne niebo ptasie.

Na darmo ojciec ostrzegał, na darmo groził zaklinającymi gestami, nie dosłyszano go, nie dostrzeżono. I ptaki spadały. Ugodzone pociskiem, obwisały ciężko i wędły już w powietrzu. Nim doleciały do ziemi, były już bezforemną kupą pierza.

W mgnieniu oka pokryła się wyżyna tą dziwną, fantastyczną padliną. Zanim ojciec dobiegł do miejsca rzezi, cały ten świetny ród ptasi już leżał martwy, rozciągnięty na skałach.

Teraz dopiero, z bliska, mógł ojciec obserwować całą lichotę tej zubożałej generacji, całą śmieszność tej tandetnej anatomii.

Były to ogromne wiechcie piór, wypchane byle jak starym ścierwem. U wielu nie można było wyróżnić głowy, gdyż pałkowata ta część ciała nie nosiła żadnych znamion duszy. Niektóre pokryte były kudłatą, zlepioną sierścią, jak żubry, i śmierdziały wstrętnie. Inne przypominały garbate, łyse, zdechłe wielbłądy. Inne wreszcie były najwidoczniej z pewnego rodzaju papieru, puste w środku, a świetnie kolorowe na zewnątrz. Niektóre okazywały się z bliska niczym innym, jak wielkimi pawimi ogonami, kolorowymi wachlarzami, w które niepojętym sposobem tchnięto jakiś pozór życia.

Widziałem smutny powrót mego ojca. Sztuczny dzień zabarwiał się już powoli kolorami zwyczajnego poranka. W spustoszałym sklepie najwyższe półki syciły się barwami rannego nieba. Wśród fragmentów zgasłego pejzażu, wśród zburzonych kulis nocnej scenerii — ojciec widział wstających ze snu subiektów. Podnosili się spomiędzy bali sukna i ziewali do słońca. W kuchni, na piętrze, Adela, ciepła od snu ze zmierzwionymi włosami, meła kawę na młynku, przyciskając go do białej piersi, od której ziarna nabierały blasku gorąca. Kot mył się w słońcu.

³⁵konglomerat — połączenie wielu zróżnicowanych elementów. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sklepy-cynamonowe-noc-wielkiego-sezonu>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, *Sklepy cynamonowe*; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).